

Zakręcenie

Za każdym razem mama pakuje 10 słoików. Każdy owinięty w gazety lub szmaty. Schabowe układa na tackach po mięsie i owija przezroczystym papierem. A kruche bezy wtyka do papierowej torebki po cukrze

Przed drzwiami na korytarzu stoją trzy pary butów. Przecież zabłocone buty zawsze zostawiali w sieni. A na balkonie po prawej 65 pudełek po jajkach. Jajka są najtrudniejsze, dlatego pudełka należy składać w sterty, zabierać do domu i stamtąd przywozić pełne. Dalej w rzędach puste słoiki (zawekowane stoją w szafce). Pod lewą ścianą składane czarne pojemniki. Niezwykle praktyczne, można całą wałówkę zapakować.

Sine pyzy i papryka w occie

Tunel, Marcin i Janek wynajmują mieszkanie na Woli. Tunel jest wysoki, ma ciemne włosy, wydatny nos. I tunele. To otwory w płatkach usznych. Rodzaj kolczyka. Są tak duże, że można przez nie przełożyć długopis. Robione chirurgicznie. Lekarz wycina skalpelem kawałek ucha. Albo rozpycha dziurkę do pożądanej wielkości. Ozdoby w uszach Tunela to czarne kółka. Szesnastomilimetrowe, jedno z większych. Tunel twierdzi z przekonaniem, że kiedyś uszy się zrosną. Po wyciętych przez chirurga dziurach nie będzie nawet śladu.

Tunel jest w Warszawie najdłużej, czwarty rok. Zdążył się już zdomowić. Kończy matematykę na Uniwersytecie Warszawskim. Żyje z udzielania korepetycji. Wyspecjalizował się w statystyce.

- To ciężki przedmiot, sprawia trudności studentom wszystkich kierunków ekonomicznych – mówi Tunel. – Moi uczniowie to głównie studenci z SGH-u. Mam też delikwentów z zarządzania. Biorę 80 złotych za godzinę zegarową.

To dużo, ale na rynku niewielu jest speców od statystyki. Wieczorami Tunel chodzi do modnych klubów. Umie się wkręcić w towarzystwo. W rodzinnym miasteczku pod Radomiem budzi podziw. Wie, że sąsiadki mamy o nim mówią. Miejskowe nastolatki spoglądają zazdrośnie. Też chcą się wyrwać. Tunel jest dla nich człowiekiem sukcesu.

Słoiki? Owszem przywozi, ale ich zawartość całkiem się zmieniła. Na początku brał z domu wszystko: kotlety, fasolkę po bretońsku, flaki. A teraz tylko ulubioną paprykę w occie. Współlokatorzy szanują go za jego samodzielność.

Marcin, warszawiak od półtora roku, stara się Tunela naśladować. Student drugiego roku biotechnologii z Zamościa. Żyje z pieniędzy od rodziców i stypendium naukowego. Marcin odcinał się od łatki słoika. Rezygnował pomału z domowego żarcia na rzecz budkowej chińszczyzny, a właściwie wietnamszczyzny. Mama próbowała wciskać mu swoje specjały. Stanowczo odmawiał. Kiedyś powiedział wprost, że to dla niego obciach i tym ją przekonał. Czuje się niezależny. Przecież już nie wozi.

Najgorzej ma Janek. Jest w Warszawie dopiero od października, niecały rok. Wciąż tęskni. Nie lubi wielkomiejskiego zgiełku. Czuje się przytłoczony. Bez zatyczek do uszu i opaski na oczach nie zasypia. Co niedziela przywozi nowe zapasy. To on ma największy wkład w tworzenie balkonowego magazynu opakowań. W szafce składa: gulasz, pulpety w dwóch smakach: w sosie pomidorowym i w cebulce ze śmietaną, kotlety schabowe, pierogi w pudełku po lodach, a nawet pyzy ugniecione rękoma mamy, sine, małe. Janek to żarłok, codziennie odkręca przynajmniej dwa słoiki. Jak przygrzewa bigos, chłopaki się śmieją, że chce całe piętro wykurzyć. Albo nawet pion. Janek nie czuje się urażony. Wie, że i tak poproszą o trochę. Oczywiście podzieli się z nimi, choć wozi mu się trudno.

Za każdym razem mama pakuje średnio 10 słoików. Każdy owinięty w gazety lub szmaty. Nie wszystko można włożyć do słoika. Schabowe na przykład mama układa na tackach po mięsie i owija przezroczystym papierem. Pakują to wspólnie do torby na kółkach. A kruche bezy do bagażu podręcznego. Mama wtyka je do papierowej torebki po cukrze. Należy do pokolenia, które umie różne jednorazowe rzeczy wykorzystać drugi raz. Janek wiezie to z Łukowa bussem do Warszawy. Najmłodszy z pięciorga rodzeństwa, tylko on studiuje. Tata na bezrobociu, bez prawa do zasiłku. Mama pracuje w mleczarni. Od chodzenia całymi dniami w gumowych butach cierpi na trudno wyleczalną chorobę skóry. Rodzice Janka mają wykształcenie podstawowe.

Studia Janka – budownictwo na inżynierii lądowej Politechniki Warszawskiej – to dla rodziny ogromny wysiłek finansowy. Każdy się dokłada: babcia, zamożna ciocia z Parczewa (dorobiła się na pieczarkach), stryjek, chrzestna.

- Wiem, że rodzicom jest ciężko. Na pewno w przyszłości się jakoś im się odwdzięczę – zapowiada Janek.

Wychowano go w gorliwej katolickiej rodzinie. I chociaż lubi Tunela, to trudno mu zaakceptować, że jest gejem. Domyśla się także, skąd kolega bierze pieniądze na markowe ubrania: czapkę z daszkiem i obowiązkową naklejką, Levisy, najmodniejsze buty. Tunel spotyka się ze znacznie starszym Andrzejem.

Oko za oko, wek za wek*

W internecie krążą żarty: „Czemu na święta w Warszawie robi się tak pusto? Bo prawdziwe warszawiaki z Pęcherzewa Dolnego wyruszyli na świętego Weka”. Nie wiadomo, kto i kiedy po raz pierwszy nazwał przyjezdnych Słoiakami. Nietrudno się domyślić, dlaczego tak się o nich mówi. Jednych to bawi, innych obraża. Określenie stało się popularne, a Słojów jest coraz więcej. W latach 1995-2010 do Warszawy przyjechało 85 tys. osób. Jeśli takie tempo się utrzyma, w 2035 w stolicy będzie co najmniej 170 tys. więcej mieszkańców niż teraz.

Od zawsze ludzie z mniejszych miejscowości przyjeżdżali do dużych miast. Do szkoły, za chlebem, by podnieść standard życia. To zjawisko powszechne na całym świecie.

W Warszawie zaczęło się pojawiać wiele artykułów o Słoiakach w prasie i w sieci. Łatwy przepływ informacji i otwarte fora pozwalają swobodnie wypowiadać się na ten temat. Niektóre komentarze warszawiaków są niecenzuralne. Ziejące nienawiścią. „Słoiaki traktują Warszawę pasożytniczo”. Stolica „daje im chleb”, a oni ją opluwają. Podkreślają na każdym kroku, jak to „u nich jest wspaniale”, a w „Warszawie beznadziejnie” - można przeczytać na forach. Odzew ze strony przyjezdnych jest równie silny. „Warszawiaki, wy ... Komuchy! Drugie pokolenie tu i myślicie, że jesteście lepsi?”. Słoiaki wymyśliły przezwisko Slums, nazywają tak warszawiaków. „Slums to jednak slums, zawsze cham i cwaniak”.

Od potrawki drobiowej do garnituru Hugo Boss

Andrzej przyjechał z Bydgoszczy. Słoiaki ma dawno za sobą. Zaczynał podobnie do Tunela i jego kolegów. Mieszkał z dwoma współlokatorami: Karolem i Robertem.

Studiował prawo. Dorabiał rozwożąc pizzę w dużej sieciowej pizzerii. Stracił pracę przez „afere serową”. Jeden z pracowników kradł hurtowe ilości sera. Kierownictwu nie udało się dojść, który to. Większość zatrudnionych wiedziała. Wiedział także Andrzej, ale jak wszyscy siedział cicho. To była sprawa honoru. Nie chciał wyjść na kapusia. Cały zespół dyscyplinarnie zwolniono. Andrzej też poleciał. Nie zdał dwóch egzaminów i nie skończył studiów. Koledzy

wyprowadzili się: Karol do swojej panny, też przyjezdnej, ale już z własnym mieszkaniem w Warszawie, a Robert do lokum o wyższym standardzie.

Andrzej musiał się postarać o nowych sublokatorów. Nie mierzył zbyt wysoko. To już nie byli studenci SGH, tylko czasowi robotnicy. Zaczął żyć z pieniędzy przesyłanych przez rodziców. Kłamał, że wciąż studiuje.

Siedział w domu przed ekranem starego peceta złożonego przez starszego brata. Miał bardzo dużo czasu i mało pieniędzy. Nie troszczył się o wygląd, o czystość pościeli ani toalety. Nie dbał również o to, co je. Z domu zwoził głównie potrawkę drobiową. Jadł ją z najtańszym ryżem z Tesco. A gdy słoiki się kończyły, sublokatorzy rzucali się na sosy Uncle Ben's. Bywało i tak, że siedział głodny. Najlepszy sposób na głód to sen. Andrzej sporo spał. Pieniądze przeznaczał na dostęp do sieci.

- Zadzwoił do mnie raz – wspomina Karol – i mówi: „Tutaj stoją panowie i chcą mi odłączyć prąd. Nie będę miał internetu. Potrzebne mi 230 złotych, natychmiast. Czekam na kasę od rodziców, będzie lada dzień. Na pewno oddam”.

Oddał. Znajomi mówią, że przez cztery lata „czytał internet”.

W końcu zadzwonił telefon z jednej z największych firm konsultingowych w Polsce. Kolega Andrzeja odszedł z pracy, a jego polecił na swoje miejsce.

Andrzej piął się po korporacyjnej drabinie. Nie jadł już potrawki i wyprowadził się z obokurnego mieszkania na Służewcu. Zaczął pojawiać się w mediach. Wypowiadał się na każdy temat związany z ekonomią.

- Andrzej to ekspert do spraw wszelakich. Czytał internet, czytał, aż go w końcu przeczytał – śmieje się Robert.

Dziś Andrzej to koneser najlepszych smaków, win i wykwinnych potraw. Zdał ostatnie dwa egzaminy na studiach prawniczych. Napisał pracę magisterską. Kupił apartament w Miasteczku Wilanów. Czasy przesypywania głodu wspomina niechętnie.

Tłumaczy: - Obracam się w takich kręgach, że nie wypada mi nosić zegarka za mniej niż 10 tysięcy. Garnitury kupuję od Hugo Bossa. Czuję taki imperatyw.

Słoik premium

„Przeciętny Słoik jest lepszej jakości niż przeciętny Polak. Ma cele, zamierzenia, nie boi się wyzwiać. Natomiast przeciętny warszawiak jest jak przeciętny Polak. Jest więcej znanych Słoików niż znanych warszawiaków” – stwierdził Tomasz Sadowski w wywiadzie dla Gazety Wyborczej.

Sadowski mówi o sobie „naczelnym Słój stolicy”. Zawodowo zajmuje się marketingiem internetowym. Od dwóch lat prowadzi bloga „Warszawskie Słoiki. Portal warszawiaków prowincjonalnych”, na facebookowym fanpage’u zebrał ponad 8 tysięcy lajków. W komentarzach internauci podają nazwiska sławnych Słoików: Bolesław Prus z Hrubieszowa, Władysław Szpilman z Sosnowca, Stanisław Grzesiuk z Małkowa koło Chełma...

Kłosa z portfela

Teresa: słoik z dużym stażem. W Warszawie od ponad czterdziestu lat. Z niechęcią wobec swojego pochodzenia zetknęła się dwa razy. Po raz pierwszy w pracy w hurtowni tekstyliów, rok 1983.

- Przyszła do magazynu kierowniczką i mówi, że szuka kogoś na windę. Słaba robota, ciasno, przeciągi, tylko góra, dół. Powiedziałam, że nie chcę iść. Dlaczego ja? Kierowniczką na to, że jak się coś mi się nie podoba, to zawsze mogę wrócić do mamusi ziemniaczki skrobać. Stałam i mówię: „Przepraszam bardzo, ale pani też kłosa z dowodu wystają”. Trzasnęłam drzwiami i wyszłam. Premii nie dostałam przez następny rok, choć pracowałam rzetelnie.

Tadek, narzeczony Teresy, był warszawiakiem od pokoleń. Rodzina się tym chlubiła. Wspominała mieszkanie na Nowym Świecie, walki powstańcze i pradziadka, jednego z bardziej cenionych zdunów dziewiętnastowiecznej Warszawy. Po dwóch miesiącach znajomości Tadek przedstawił Teresę swojej matce. Planowali ślub.

Dopiero po roku małżeństwa Teresa usłyszała od męża, że teściowa nigdy jej nie zaakceptowała.

- Powiedziała podobno po wódce : „Jeden syn ożenił się z warszawianką, drugi z warszawianką, trzeci z chamką”.

To do ciebie wróci

Tomasz Sadowski wspomina w jednym z wywiadów, że na początku lat 90., kiedy zamieszkał w Warszawie, nie było takiej niechęci do przyjezdnych. Skąd się wzięła? Może to kwestia weekendowych korków na wylotówkach, szczególnie na wschód? (Big Cyc zwrócił na to uwagę w piosence „Słoiki”: „Kiedy stoisz w Jankach w korku – czasem trudno w to uwierzyć, Słoikowcy w noc piątkową powracają do macierzy”). Może chodzi o brak miejsc w przedszkolach? Konkurencję na rynku pracy?

Irytują obyczaje Słojów: śmieci wystawiają na korytarz, nie sprzątaj psich kup z trawnika.

Kolejny problem to pieniądze. Przyjezdni często są zameldowani w miejscowościach, z których pochodzą. Tam płacą podatki. Tam rejestrują samochody. Najbardziej słoikowa rejestracja według portalu sloiki.waw.pl to LZA (powiat Zamość), w czołówce jest jeszcze LLU (Łuków) i WGR (Grójec).

Podatki Słoiaków nie wspomagają budżetu Warszawy. Sprawa jest na tyle poważna, że miasto zdecydowało się na kampanię promocyjną. Hasło akcji: „To do Ciebie wróci. Rozliczaj PIT w Warszawie”. Udział biorą między innymi: Michał Piróg (z Kielc) i Maciej Dowbor (z Torunia). Jednak samozwańczy „Naczelnny Słój” mówi w wywiadzie: „Cała ta dyskusja o podatkach służy temu, żeby głębszej niechęci do Słoiaków nadać cywilizowaną postać.”

A niechęć widać gołym okiem. Pod koniec zeszłego roku pasażer chciał kupić bilet w autobusie linii 510. Kierowca krzyknął: „Wy przyjezdni - słoiki, to wiecznie macie problem. Tylko na Tarchomin ciągle ktoś ode mnie kupuje bilety. Mógł pan sobie kupić bilet wczoraj, a nie zawracać mi teraz głowę. Wy tutaj to w ogóle jesteście jacyś dziwni.”

Maczanka i kwas chlebowy

Robert pochodzi z Łap, niedaleko Białegostoku. Wybrał studia na SGH, kierunek finanse i rachunkowość. Nie dostał się za pierwszym razem, mimo kursu przygotowawczego.

- Nawet najlepszy kurs niewiele zdziała, jak się człowiek nie uczy – przyznaje.

Poszedł na zaoczne. Pracował w firmie ochroniarskiej. Musiał się utrzymać w Warszawie i opłacić czesne. Całe godziny patrzył w monitory, wzrok mu się pogorszył. Na uczelni dawał z siebie wszystko. Jego starania nie poszły na marne. Rzucił pracę w firmie ochroniarskiej, gdy tylko przeniósł się na studia dzienne.

Ale Robert nie chciał wiązać swojej przyszłości z rachunkowością. Na trzecim roku rozpoczął działalność na Stadionie Dziesięciolecia, wówczas jednym z największych targowisk w Europie.

- W weekendy rozstawiałem stoisko z pudełek i sklejki przykrytej plastikowym obrusem. Na to kładłem moje produkty. Podróbki kłapek Adidas, perfum Channel, świecące długopisy z wkładem w różnych kolorach, pirackie VHS-y. Handlowałem tym tanim bądziwem do wieczora. To był 1996 rok. Jadłem chińszczyznę i sprzedawałem chińszczyznę. Prawdziwy był ze mnie Chinol.

Roberta na stadionie otaczali głównie Wietnamczycy. Miał też dobre kontakty z chińskimi dostawcami. Nie zbił jednak fortuny. Choć stadionowy biznes się kręcił, wciąż potrzebował maminych słoików.

Krystyna, mama, przywoziła mu te słoiki osobiście. Bardzo się przejmowała, że jej pierworodny mieszka w stolicy. Kasia, siostra Roberta, obserwowała, jak przez cały tydzień mama przygotowuje rozmaite potrawy dla brata.

Krystyna lubi gotować. Całymi dniami siekała, smażyła. W przygotowywaniu specjałów kuchni polskiej i białoruskiej doszła do perfekcji. Jej matka pochodziła z Białorusi. To ona przekazała córce całą tajemną wiedzę dotyczącą kiszki ziemniaczanej z boczkiem, maczanki, czyli żeberka wieprzowych w sosie śmietanowym z cebulką i wszelkiego rodzaju klusek. Potrawy te w Warszawie robiły furorę na spontanicznych domówkach. Wyjątek stanowił kapuśniak z rybą. Połączenie składników budziło w innych odrazę. Za to absolutnym hitem stał się kwas chlebowy. Nikt nie dociekał, co to właściwie jest. Wszyscy go lubili.

W sobotę mama nosiła torbę pełną słoików na stację kolejową. Nikt jej nie pomagał. Ojciec Roberta uciekł z rosyjską baletnicą, najprawdopodobniej do Moskwy. Robert miał wtedy 10 lat, Kasia sześć. Krystyna zniosła to dzielnie. Całą miłość przelała na dzieci.

Robert nie chciał, aby mama przywoziła słoiki. Przekonywał ją, że to dla niej niepotrzebny wysiłek, w końcu zrezygnował. W sumie było mu to na rękę. Co tydzień, co dwa, przyjeżdżały nowe.

Słojami miasto stoi

„Tak właśnie powstają metropolie. Ulepione są z przyjezdnych. I to od zarania. Bez przyjezdnych metropolie obumierają. Zamieniają się w zatęchłe dziury bez przyszłości. Bez przybyszy z prowincji Warszawa nigdy by się nie odrodziła” – pisze w artykule dla Gazeta.pl Jerzy S. Majewski. W sporze „Słoiki contra Rodowici” słychać różne głosy. „Jak Warszawa miałaby się odrodzić bez młodzieży wiejskiej, którą dziś nazwalibyśmy Słóikami, po wojnie, pod koniec lat 40.?” – pyta karo365. „Ten portal jest BEZNADZIEJNY – oszalesiście! Po co te kłótnie? Wszyscy jesteśmy ludźmi, a Polska to Nasz kraj – mamy sobie pomagać nawzajem, tworzyć coś wspólnie. Nieważne, czy jesteś z Warszawy, czy z Pcimia. Jesteśmy w JEDNEJ DRUŻYNIE LUDZIE!!!!” - pisze Obywatelka Polski na stornie słoiki.waw.pl. Aga podsumowuje: „Nieistotne, skąd jesteś. Istotne, co dla tego miasta robisz.”

Skok na śpiocha

Koledzy śmiali się, że w weekendy Robert to inny człowiek. Stawał się czuły i opiekuńczy. Nie było w tym fałszu ani gry. Dla matki miał wiele serca i szacunku. Czasami nie udawało mu się zorganizować zastępstwa na stoisko. I mimo przyjazdu mamy musiał iść do roboty. Zdarzało się, że szła razem z nim. Miała żyłkę do handlu. Budziła zaufanie. Wcisnęłaby kota w worku. Innym razem zostawiała i sprzątała pokój Roberta, a często całe mieszkanie. Chłopaki mówili o niej „złota kobita”.

W tygodniu Robert wychodził na miasto. Zabawić się. Założył z kolegami Niezorganizowany Klub Sportów Ekstremalnych „Wściekłe Traktory”. Jeździli podczepieni pod windę albo przytuleni do wagonika metra, wspinali się na dźwigi, skakali na bungee zapakowani w śpiwory (skok na śpiocha). Kilka razy spisała ich policja. Robert spędził 24 godziny na dołku, bo biegał na golasa po Starówce. Jest z tego bardzo dumny: - Mam w sobie coś z ekshibicjonisty – mówi. Do dziś lubi się publicznie rozbierać.

Po studiach dostał pracę w dziale marketingu dużej firmy paliwowej. Nie zaspokoilo to jego ambicji. Rozpoczął własną działalność. Odnowił kontakty z chińskimi dostawcami, zaczął sprowadzać już lepsze jakościowo produkty. Założył sklep internetowy z ciekawymi gadżetami: kubki w kształcie obiektywu, akwarium dla mrówek, zegar chodzący do tyłu, lodówka na USB.

Robert się ustatkował. Mieszka na Kabatach z żoną z dwoma córkami. Kilka lat temu zameldował się w Warszawie. A mama nadal przywozi kiskę ziemniaczaną i kapuśniak z rybą.

*fragment piosenki „Śloiki” zespołu Big Cyc